

Wł. Sł. REYMONT

„PRZYSIĘGA KOŚCIUSZKI”

URYWEK Z NIEWYDANEJ JESZCZE POWIEŚCI
P. T. „KOŚCIUSZKO”

OFIAROWANY PRZEZ AUTORA
NA RZECZ OGÓLNO-KRAJOWEJ KWESTY „RATUJĄCE DZIECI”



INSTITUT
BIBLIOTEK PAŃSTWOWYCH
BIBLIOTEKA
88-830 Warszawa, ul. Nowy Świat 57
Tel. 28-68-63

GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA 1917.

DRUK PIOTRA LASKAUERA,
WARSZAWA, MARJENSZTAD 8.

13 540



Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 16/V 1917. T. № 5640. Dr. № 310.

Jedenasta zaczęła wybijać, kiedy skończyła się narada i ostateczna decyzja zapadła; zwarły się mocno dłonie jakby w niej przysiedze, skrzyżowały się wierne spojrzenia, i pierwszy przemówił Wodzicki, pochylając głowę przed Kościuszką:

— Powszechna ufność w twoje ręce składa ster skolatanej Rzeczypospolitej.

— Wola narodu w tobie upatruje jedynego pana i zbawcę.

— Twoje cnoty, twoje czucia i twój geniusz, oto czem zbawisz i podźwigniesz.

— Obywatelu-Naczelniku, w tobie wszystka wiara i nadzieja Polski.

— Każesz umierać — padniemy co do jednego. Rozkazuj, Dyktatorze.

Leciały korne słowa do stóp prawego Naczelnika Narodu. Nie odzywał się, może udawał, że nie słyszał, co do niego mówiono. Stał podobien ognistemu posągowi, w żarach wszystkich i płomieniach. Majestat bił od niego, nieledwie świętość. Chwila była wzniosła i poruszająca do łez. Wiedzieli, jako tylko śmierć prowadzi do wolności, i dobrowolnie wybrali śmierć. Nikt się nie zawahał. Sami się dawali na ołtarz całopalenia, by ofiarą własnej krwi kupić u losów szczęście Ojczyzny. Zaiste, obraz to był bohaterów. Odchodzili w uroczystem milczeniu spełnionej powinności. Szli amfiladą ziemnych pokojów do tajnego wyjścia, po-

przedzani przez adjutantów z zapalonemi światłami. Nie wiedział nawet kiedy odeszli, dopiero trzask zawieranych drzwi zbudził jego uwagę. Obejrzał się na strony. Był sam jeden. Wielka komnata, pogrążona w słabych brzaskach światła, zaledwie dawała się objąć oczami. Ze ścian wзираły konterfekty mężów zasłużonych w narodzie, niegdzie widniały starożytne zbroje, stały farfururowe wazy, dające podobieństwo bukietów rozkwitłych, poślniewały oślepie ze starości zwierciadła i przygasłe złocenia. Staroświecki sprzęt surowym kształtem gęsto zalegał pawimenty. Obejrzał się raz jeszcze i ruszył do stancyi, przeznaczonej sobie na kwatere, lecz nagle zatrzymał się przed progiem. Owo między oknem a drzwiami wyłoniła się przed nim jakby groźna chmura: dźwigał się na koniu olbrzymim skrzydlaty rycerz z kopią złożoną do ataku. Orle skrzydła ramion, czarna, złotem nabijana zbroja i szyszak, powiewający czubem czarnych piór strusich, nadawały mu pozór majaczenia. Z poza opuszczonych krat przyłbicy jakby świeciły spojrzenia, zaś koń, cały w blachach i łuskach, zdawał się brać pęd bojowy. Skrzydlaty rycerz uderzał z furją na niewidzialnego wroga, porywała go jakaś moc, niczem nie pohamowana. Zdał się być wichrem w kształt rycerza zaklętym, posępsem widmem chwały i świetności dawno struchlałych pokoleń.

Kościuszko pochylił głowę jakby przed cieniem zjawionej w tej wielkiej godzinie duszy praojców i nawrócił z powrotem do stołu. Ale skrzydlaty majak przysłonił mu sprawy najbliższe i zażęglł niepokojące myśli. Upłynęło sporo czasu, nim jął odczytywać na nowo gotowy już do podpisów i proklamowania publicznego akt insurekcyjny.

— Za kilka godzin, a słowo stanie się ciałem! — pomyślał i odwrócił się gwałtownie, odniósł bowiem wrażenie, jakby ktoś wypowiedział te słowa. Nie było jednak nikogo w komnacie. Pałac Wodzickich, gdzie okoliczności zakwaterowały go na tę pamiętną noc z 23 na 24 marca, zdawał się jakby wymarłym. Za oknami również leżało milczenie i czaiła się zimna, przymglona noc. Na niebo, zawałone skoltunionami chmurami, wypływał księżyc, podobien srebrnemu korabiovi, wynurzającemu się z odmętów. Odłożył manifest, gdyż myśli o jutrze — o tem jutrze, przygotowywanem i wymarzonem w długie, nieprzespane noce, porwały go w szpony udręczeń. Spróbował zajrzeć w przyszłość i cofał się w zabobonny lęk, jakby przed obliczem groźnej prawdy, wylaniającej się z ciemności przeznaczeń. Biorąc taką dyspozycję umysłu za skutek przemęczenia trudami dni ostatnich, poszedł do swojej stancyi i, jak był stał, rzucił się nałóże, nagotowane za parawanem z zielonej kitajki. Ale i tam nie opuściła go troska czująca, i tam dopadły dręczące pytania i, obsiadłszy duszę jakoby stadem drapieżnego ptactwa, zło-wróźnie zakrakały.

Po chwili Zaręba zobaczył go znowu na wielkiej sali pochyłonym nad planami. Późno już było, świece w pająku gasły jedna po drugiej, coraz mroczniej spozierały ze ścian oczy konterfektów, coraz mgliściej rysowały się sprzęty, a skrzydlaty rycerz stawał się jeno cieniem ledwie dojrzanym. Wtem jakieś krzesło odsunęło się gwałtownie i zaskrzypiała posadzka. Zaręba stanął we drzwiach. Kościuszko promenował się zwolna, cyrkulując dokoła stołu, i raz po raz przystawał, by coś zobaczyć na mapie, lub przeczytać w re-

jestrach. Uderzyła północ. Duszno mu się naraz zrobiło, powietrze, nazbyt nagrzane i przejęte zapachami świec dogasających, przyprawiało o zawroty głowy, zaś ta sala wydała się naraz jakby grobową izbą, pełną ciemności i nieodgadnionych przerażeń.

— Otworzyć okna! — rzucił krótki rozkaz, spełniony w milczeniu przez Zarębę.

Wystawił zgorączkowaną twarz na chłodne powiewy. Noc wtargnęła do sali, a wraz z nią spłynęły dźwięki jakiejś oddalonej muzyki.

— Kapela o północy! Co to znaczy? — spytał oczekującego rozkazów Zarębę.

— Hejnał z wieży Maryackiej, jak zwyczajnie przegrywany co godzina.

Hejnał rozgłaszał się coraz cudnie. Jakby noc zaśpiewała senną litanie mrących godzin. W niezgłębionej cichości i ciemnościach rozświergotały się złociste trele, niby ptakowie przed wschodem, śpiewający radosną pieśń do słońca. Polały się perliste kaskady i wytrysnęły dzwonne fontanny. Słodko zaszleściły deszcze niebiańskich melodyi. Gorącym i niebosiężnym pacierzem grała niewidzialna kapela. Płomiennymi usty zdąży się śpiewać zburzone ciemności. A kiedy hejnał przechodził w ledwie dosłyszalne pianissima, powietrze zdawało się drgać jakby warem szemrzących w południową spiekotę kwiatów, jakby wonnym pogłosem zbóż, przegarnianych skrzydłami omdlewających żarów. Ziemia śpiewała niebu hymn szczęścia. Zasię chwilami dominował głos mocny, uroczysty i rozległy — niby głos duszy samotnej, wyznający się wszystkiemu światu ze swoich nieśmiertelnych tęsknot i marzeń. Zaczem podniosły się jakieś skargi jękliwe, jakieś żalosne błagania zawodziły w przemglonych pustkach, jakieś szlochy zrozpaczonych. Lamentowała straszna nędza żywota. Odstąpił na stronę przejęty do żywego i wzburzony. Nagła niemoc ogarnęła go, że zasiadł ciężko przy stole. Myśli wzięły inny zgoła obrót, chwiejny i smutny. Poczł się jak człowiek, gdy mu zabraknie gruntu pod nogami, a zostanie w bezradnej męce zrozpaczenia i niepewności.

„Powszechna ufność składa w twoje ręce ster Rzeczypospolitej” — zadzwieczyły mu w mózgu słowa Wodzickiego. Zatargał się w sobie, w skroniach zabiło młotami, serce przestawało bić, cofał się w przerażeniu, jakby przed straszną zjawą Golgoty.

— A gdzież król, strażnik namaszczony? Gdzie hetmani? Gdzie urodzeni przewodcy tej ziemi nieszczęsnej? Czemuż nie stają na czele? — szeptały pobielale wargi w stronę skrzydlatego rycerza. — Czemuż złożyli na moje słabe barki ten ciężar nadludzki? Zali go-dzien jestem takiego wywyższenia?

— Zali podolałam i wydzwignę? — myślał coraz trwożniej i w tym chwilowym upadku ducha zobaczył wszystko zgola niemożliwem do dokonania. Zdumiewał się nawet własnemu zuchwalstwu. Słabym się naraz poczuł, samotnym i bezradnym, jak żdźbło, przymuszone stawiać czoło nawałnicom. Walczył jednak ze sobą, łamał się i szamotoł. Burza się w nim rozszalała. Myśli się rwały, niby ogniki szarpane przez wichry. Bezsilność dawała gorzki posmak rozpacz. Klęski widział, upadek, zatrąbę. A co jeszcze przed godziną zdawało mu się niezłomne i pewne, waliło się teraz struchlałym rumowiskiem. Straszna noc zwątpienia opadła duszę.

— Boże miłosierdział Boże! — jęczał rozpięty na krzyżu nadludzkiej męki.

Wybiła pierwsza. Zaręba, jakby skamieniały, stał w drzwiach kordegardy, nie spuszczać z niego oczu. Rozumiał, co się w nim dzieje, i ujrzawszy respons na swoje niepokojące pytania, cierpiał wraz z nim nieopisane udreki.

Naraz Kościuszko, jakby uciekając przed ostatecznym zwątpieniem, rzucił się do planów, porozkładanych na stole. Szukał ratunku w rejestrach i sumaryuszach sił zbrojnych, czytał długie litanie spiskowców po województwach. Przeglądał ranglisty oficerów, podkreślając niektóre nazwiska. Rozpatrywał miejsca, zajmowane przez nieprzyjaciół, wykreślał marsze, konotował jakieś dyspozycje, obliczał zasoby i snadź generalny obraz przedstawiał się pomyślnie, gdyż ode-

chnął z widoczną ulgą. Rumieniec okrasiał jagody i oczy nabrały blasków. Tak się jednak utrudził tą gorączkową pracą, że przystąpił do okna zaczerpnąć powietrza. Owiał go przejmujący chłód i myśli wróciły do dawnego biegu. Pojrzał w niebo, w przymglone migoty gwiazd, w bezkresy ciemności, w niepojęte dalekości. Nieopowiedziana tęsknota poniosła go na jakąś wyżę, z której oczyma duszy ogarnął całą polską krainę. Leżała w mrokach i w milczeniu. Zasnęły nawet wichury i burze. Sama noc zdawała się być snem.

Jako ptak, powracający z dalekich łądów, krążył w głuszy, aż przypadł piersią do ziemi ojczystej i, ogarnawszy ją wszystką mocą miłowania, poczuł, że jego serce bije zgodnie i zjedno z milionami serc współbraci. I wraz z tem przeświadczeniem spływała w niego moc całego narodu, niezłomne męstwo i determinacja walki usque ad finem. W tej chwili łaski stawał się duszą i czuciem powszechności, jej sumieniem, nieśmiertelną wiarą i prawem.

— Podolałam i wydzwignę! — ślubował, podnosząc czoło opromienione glorią bohaterskiego posłannictwa. I taką mocą zestrzeliły się w nim wszystkie potęgi, że zajaśniał nadziemską pięknnością.

Poczuł się wodzem narodu i sprawcą jego przyszłych losów.

Słuszna дума zagrała mu w piersiach mocą wywyższenia i dobrowolnie przyjętej ofiary. Rozumiał bowiem, jako bierze na barki ciężki krzyż i dźwigać go powinien aż do końca dni swoich. Los wynosił go na szczyty niedostępne zwykłym śmiertelnikom, na szczyty Golgoty. Nie uchylił się jednak przed cierniową koroną przeznaczenia. Wszak już umierał dla siebie, aby żyć dla ojczyzny i ludzkości. Przeznaczenie formowało z niego nieśmiertelny płomień, by narodowi rozświecał ciemne i straszne drogi niedoli.

— „Ani z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli wyrośłem” — przyszły do pamięci słowa Czarnieckiego. Treścią były najgłębszą i jego istności. Wszak z bólu wzięła się jego moc. Męką karmiła się jego dusza

przez wszystkie lata żywota. Przemoc, tyrania, niesprawiedliwość—oto wiecznie krwawiące rany jego serca. Oto generalni wrogowie. I niedość będzie wypędzić nieprzyjaciół, niedość uwolnić Polskę od hańbiącego jarzma i uratować dobytek wieków — trzeba jeszcze podźwignąć rodaków do słońca cnoty i prawdy.

Bo służyć Polsce, to służyć powszechnemu szczęściu, to pomnażać i utrwalać sprawiedliwość, to służyć ludzkości. Zagłębiał się w górne rozważania.

Wybiła druga godzina. Ostatnia świeca w pajaku dogasała i w jej konającym blasku dojrzał po raz ostatni skrzydłatego rycerza. Zdał się unosić w powietrzu, furą bojową porwany. Jakby słyszeć się dawały poszumy jego skrzydeł, szcęk zbroi, tętent rumaka i ogromny, niebosiężny krzyk. A tak wyraźnie, aż mu się to widziało całę niezwykle.

— Obraz to polskiej duszy doskonały — szepnął w zadumie i z tem dziwnem wrażeniem rzucił się na kanapę, żeby nieco rozprostować kości. Spać mu się zgoła nie chciało. Ale przemogły go trudy i zmęczone myśli i czucia osunęły się bezsilnie w ramiona zapomnień. Zasnął głęboko pod strażą milczenia. Skrzydlaty rycerz czuwał nad nim. Strażowały dostojne męże, spozierające z konterfektów tkliwemi oczami. Wartę trzymał Zareba.

Godziny przechodziły niby wędrowce, niewiadomo dokąd śpieszące. Biły, jak ślepe ciosy przeznaczeń, a każda przynosiła jakąś wieść tajoną o jutrze, a każda, niby harfa rozdrzana czuciami całej Polski, a każda błogosławiła go na dzień jutrzejszy. Na wielki czyn zmartwychpowstania.

Wiatr uderzył w okna, szyby rozbieliły się świtaniem, budził się przemglony dzień; na mieście, pomimo wczesnej pory, podniosły się gwary i ruch zgoła niezwyczajny: dudniały przetaczane harmaty, grały trąbki, dawał się słyszeć akuraty tupto maszerujących wojsk, niekiedy przelatywały konne oddziały, nawet sygnaturki kościołów rozświetlały się dzisiaj wcześniej.

Równy też z uderzeniem szóstej Kościuszko zerwał się na nogi.

Fiszer, oczekujący już z raportami w małej stancyi, aż oniemiał na jego widok, tak mu się wydał przemienionym. Kamienna szarość powlokła mu twarz, brwi spinały się groźnie niby lwie, oczy patrzyły jako niezgłębione otchłanie, wyraz znaczył się w twarzy surową powagą i namaszczeniem. A wszystka postać pokazywała jakoby obraz Mojżesza po rozmowie z Panem. Zdawał się, jako i tamten, powracać na świat z tablicami Nowego Zakonu. Bił od niego majestat i potęgę prawego Wodza Narodu.

Fiszer, z przyrodzenia wesoły i krotchwilny, a jako adjutant, socyzus i przyjaciel, przypuszczony do wszystkich sekretów, w tej jednak chwili stracił zupełnie kontensans, nie wiedząc, co z sobą począć. Dał spokój raportowaniom i, nie śmiejąc przerywać milczenia, jął niby porządkować kancelaryę, lecz wszystko leciało mu z rąk i serce tłukło się coraz niespokojniej.

Dopiero, kiedy Kościuszko zwrócił na niego oczy, sprężył się, ponawiając raporty.

— Na potem sprawy. Pójdziemy na mszę do Kapucynów. Gwardyan czeka — przerwał mu i, przypasawszy szablę, okrył się płaszczem i ruszył naprzód.

W ulicach leżał jeszcze mrok i tłukły się rzadkie, wilgotne mgły. Gdzieś zrzadka człapały po błocie niedojrzane postacie żołnierzy i w różnych stronach miasta głucho warczały bębny.

— Obsadzają bramy. Rozprowadza wojsko kapitan Wasilewski.

Kościuszko, nie odpowiadając, wyprzedził go nieco i do klasztornej furty zakolał. Otworzyła się przed nimi posępna ulica korytarza. Weszli bocznemi drzwiami do kościoła, w głębokie mroki ledwie zmacone świtaniem, lejącym się przez wąskie witraże. W pustych i mrocznych nawach leżała taka cichość, że kroki rozlegały się łomotem grzmotów. Ogarnęło ich powietrze, przesycone zapachami kadzideł, wosku i pleśni.

Właśnie, gdy wchodzili, zapalano świece na wielkim ołtarzu i posunął się na przywi-

tanie Wodzicki w asyście J. Ślaskiego, Linowskiego, Dębowskiego i generała ziemiańskiego G. Taszyckiego. Przywitali się w milczeniu, bowiem gwardyan już wychodził ze mszą, że tylko Linowski zdążył szepnąć:

— Ksiądz Dmochowski eksplikuje się z nieobecności słabością.

Kościuszko, przyklękawszy na środku przed ołtarzem, wsparł czoło na głównej szabli i znieruchomiał w jakichś kontemplacjach.

Msza była cicha i tylko niekiedy rozbrzmiewał starczy głos księdza lub dzwonki wybuchały brzękliwe. Gwardyan, biały jak gołąb, z brodą siwą i długą, wyschnięty na szczapę, dawał postać świętego ze starych obrazów. Odprawiał nabożeństwo na intencję insurekcji ze szczególną żarliwością. Zaś ilekroć odwracał się od ołtarza, jego przeżawione oczy spływały na głowę Kościuszki warem niemych, serdecznych błogosławieństw.

I wszyscy zdawali się modlić również gorąco, zarówno jakobin Taszycki, jak i człowiek starego autoramentu Wodzicki, jednakowo w tym momencie błagali Opatrzności o pomyślność sprawy. Wszak nie o partykularne sukcesy prosili Pana Zastępów, a o zmiłowanie nad Ojczyzną, choćby kupione własnymi ranami lub śmiercią. I snadź całe dusze zawierali w modłach serdecznych, bowiem rozogniały się im twarze, trzęsły wargi spieczone, a w oczach świeciły łzy. Na ofertorium, starym zwyczajem, wyrwał szablę z pochwy Kościuszko, a potem złożył ją na stopniach ołtarza. Wraz też zamigotały błyskawice i wszyscy rzucili obnażone żelaza i poklękali pokornie. Gwardyan przystąpił do ceremonii poświęcenia, lecz kiedy, odmówiwszy modlitwy, zaczął kropić wodą święconą złożone szable, ręce mu się zatrzęsły, zbrakło sił, że ledwie powstrzymując łkania, zaszeptał z niezwyčajnym żarem:

— Za znieważony majestat Rzeczypospolitej! Za wolność! Za niepodległość! Za...

Reszta słów uwięzła w gardle i, wspierając się na ołtarzu, rzewnie zapłakał. Zaś te męża hartowne w ogniach bitew, te męża azar-

dom śmierci nieulekle zazierające w oczy, te męża wybrane z pośród tysięcy, zaszłochały długo tajonym, ciężkim płaczem. Wazyli się na święte dzieło podźwignięcia Ojczyzny, więc wszystkie troski, wszystkie obawy i nadzieje sparły im serca w tej chwili ostatniej takim udręczeniem, że łzy wytryskiwały z samego dna wzburzenia i denerwacji.

Gwardyan, opanowawszy nieco rychlej roztkliwienie, podał im patynę do ucałowania i, pobłogosławiwszy każdego z osobna, dokończył mszy.

Wyszli z kościoła dziwnie ukrzepieni na siłach i zdeterminowani.

Dzień się był zapowiadał pogodny, mgły zwolna opadały, odsłaniając spiętrzone wieże i dachy Krakowa. Było już po siódmej, miasto wylegało na ulice. W głównym Rynku rozgłaszały się łaskoty bębnow, kroki tysięcy i niemałe gwary. Ratuszowy dzwon nieustajacem dzwonieniem zwoływał obywatelów.

— Mamy jeszcze sporo czasu! — zauważył Kościuszko i, pozostawiając towarzyszy w bramie pałacu Wodzickich, oddalił się z Fiszerem na swoją kwaterę.

Tymczasem w sali pałacu na pierwszym piętrze, widnej, ogromnej i za dnia jeszcze wspanialej się pokazującej, zbierali się ci wszyscy, którzy mieli asystować przy ogłoszeniu aktu powstania. Pierwsze miejsce, jako gospodarz i wiekiem najstarszy, brał generał Wodzicki. Potem szli: Kapostas, ks. Dmochowski, kasztelan Dębowski, hr. Mozyński ze Zbylitowskiej Woli, szambelan Linowski, T. Czacki, G. Taszycki, dwaj Ślascy: Andrzej i Jan, obaj wielcy patryoci, formujący oddziały kosynierów z niemałym uszczerbkiem własnych fortun, oraz paru oficerów. Liberya roznosiła kawę i jej rzeźwiący zapach przepełniał komnatę. Tak jednak byli rozanimowani, że mało kto wyciągał rękę po filiżankę.

Godzina, wyznaczona na ceremonię, zbliżała się zwolna lecz nieublaganie, przejmując wszystkich coraz większem zdenerwowaniem. Głosy wybuchały nieoczekiwanie i nie-

wiadomo dlaczego zalegały niepokojące, długie milczenia. Spojrzenia szarpały się, jak poblekani ptakowie. Ktoś promenował się nieustannie, przeraźliwie skrzypiąc butami. Byli, którzy wciąż wyglądali oknami. Żadna rozmowa się nie wiązała, urywano w pół zdania i rozchodzono się bez widocznych powodów. Dygotały udręczone serca, zrywały się ciężkie westchnienia i przyspieszone oddechy. Ktoś gorzko użalał się na własny pektoralik za fałszywie pokazywane godziny. Ktoś znowu natarczywie indagował Kapostasa o Warszawę, pomimo iż nie dostał ani słowa responsu, gdyż bankier, wciśnięty w głęboki fotel, przyglądał się z natężoną uwagą skrzydlatemu usarzowi. Linowski, z papierami pod pachą, nieustannie kogoś zagadywał i, obdzielając wzamian cichymi uwagami, kręcił się niespokojnie po sali. Czacki po sto razy zbliżał się do półek z książkami, wyciągał po nie łakomie ręce i, nawet nie tknąwszy, odchodził śpiesznie przyglądać się konterfektom. Tylko generał Wodzicki pozostawał zimny i spokojnie baczący na wszelkie okoliczności. Co chwila bowiem odbierał od ordynansów jakieś ciche doniesienia z miasta, i co chwila również rozsyłał rozkazy przez Biegańskiego i drugih oficerów, że prawie nie zamykały się drzwi od kordegardy. On zaś przybrany, jak na taką chwilę przystało, w paradny mundur, przepasany orderową wstęgą, w białej peruce, wysoki, chudy, z poradloną twarzą żołnierza, któremu życie zbiegło w posługach Rzeczypospolitej, siedział pod jednym z okien, zapamiętałe kurząc lulkę i ledwie dojrzany w obłokach dymów.

Czas włókł się tak niemiłosiernie wolno, że już ogarniało wszystkich wzburzenie z denerwacyi wyczekiwań. Więc gdy się ukazał pomiędzy nimi Kościuszko, w sali uczyniło się jakby jaśniej i weselej. Porwali się witać jakby dawno niewidzianego. Wszystkie oczy wpłyły się w niego z natarczywością. Zarzucono go pytaniami, a otoczywszy, nie pozwalano prawie ruszyć się z miejsca.

W obejściu dworny i prosty zarazem,

foremnej postaci, z włosiem nieco zwichrzonym, z czołem jasnym i otwartem, piękny wyrazem dobroci, o spojrzeniu wyniosłym i jakby zadumanem, ujmujący słodyczą uśmiechu i szlachetnością, dawał ze siebie obraz człowieka, w którym nie mogła postać nikczemność, fałsz i egoizm. Promieniował niby słońce — ogrzewał i rozjaśniał. Może byli w narodzie więksi od niego wodzowie i statysci, ale nie było większego serca, większego umiłowania Ojczyzny i większej cnoty poświęceń. Przeto górował, jako orzeł w locie podniebnym nieprześcigły.

Spoglądano w niego z uwielbieniem. Rozjaśniły się najchmurniej zasepione oblicza i spokój wracał do serc. Ożywili się, jakby im nagle do żył zwątlalych napuszczono świeżej i bujnej krwi.

Kościuszko, pomówiwszy prawie z każdym, zabrał się do picia kawy, gdy kapitan Wasilewski wpadł do sali, meldując zadyszczanym głosem:

— Imię Lichocki z rajcami miejskimi. Mają sobie za dyshonor powolność rozkazom p. Generała! — dodał nie bez ukrytej intencji.

Jakoż wszedł F. Lichocki, prezydent Krakowa, w asyście imię pp. Czałczyńskiego, wice-prezydenta T. Krzyżanowskiego, syndyka i J. Wytyżkiewicza, zarządcę. Wchodzili odęci i rozsrożeni, dając poznać minami, jako ulegają jeno przymuszeniu. Szczególniej Lichocki, nad miarę ambitny i zadufany w swoim dostojęństwie, pokazywał lekceważenie dla zgromadzonych, uważając ich za uzurpatorów i natrętów.

Wodzicki powstał na niego z gniewem:

— To ty, niegodziwcze, jesteś prezydentem Krakowa?

— Ja nim jestem — odparł, czerwieniąc się, srodze dotknięty traktamentem i rozumiejąc, że to nic dobrego nie wróży.

— Wiedziałeś, że Łykoszyn będzie uciekał z miasta, i znać mi o tem nie dałeś!

— Nie wiedziałem — wystawił się męźnie — a że tam krupne baby na tracie melły ozorami o spodziewanem wyjściu Moskali,

nie sądziłem powinnością moją takowe bajki generałowi donosić...

— Nie rzucaj mi kilimkiem w oczy, niegodziwy arystokrato!

— Nigdy nie miałem dyspozycyi do łgarstwa — zaperzył się. — Opowiem z rzetelnością, jak było. Owo wczoraj rano o piątej godzinie, kiedym jeszcze spał, dobił się do mnie sierżant moskiewski i powiada: „Jest rozkaz od JW. Łykoszyna, komendanta, byś panie prezydent zaraz do niego przyszedł, bo będziemy wychodzili z miasta. Kazałem przywołać Zajdlera, prowentowego, i poszliśmy. Kiedym dochodził do jego kwatery, właśnie z bramy wyjeżdżała w kolasce Łykoszynowa, a szwadron jazdy i kozacy stali gotowi pod kamienicą. Na kwaterze, już w pustych pokojach, zastałem Łykoszyna. Oddał mi książki pożyczone od p. Heppena, klucze od wypróżnionych magazynów i powiada:

— Bądź zdrow, prezydencie, a daleko do Pińczowa? Czy zdążę tam na południe?

Poczem wypadł z domu, siadł na konia i na czele jazdy wyjechał z Krakowa przez bramę Sławkowską. Prawdziwość mojej relacji mogą poświadczyć wszyscy: Ani słowa nie ująłem, ni też dodałem.

Generał Wodzicki, mimo takich eksplo-kacji powsiadłszy na niego, zekpał od ostatnich, a Kościuszko, chcąc nieco złagodzić sytuację, przytrzymał Lisickiego za pas i powiedział:

— Mój panie prezydencie, nie wchodzę ja w to, jakim byłeś względem Moskali, ale spodziewam się, że i dla mnie będziesz grzecznym. Cóż, rozkazałeś swoim pacholkom zwoływać lud pod Ratusz?

Rumor wchodzących zgłuszył dalszą rozmowę, weszło bowiem kilku oficerów, a pomiędzy nimi Fiszer z Zarębą.

Naraz bębny zagrały i zadudniała ziemia pod ciężkimi krokami.

— Batalion Czapskiego, bierze dyрекcyę na Rynek, i my zaraz ruszymy—objaśniał ci cho Fiszer.

— Ja się wysunę naprzód. Mój mode-runek tak w drodze ucierpiał, że wstyd mi ściągać na siebie oczy. Wolę się zaszyć między pospólstwo. Radbym się też dowiedział o duchu Krakowa, co mi snadniej dopiąć w pojedynkę — odpowiedział Zaręba i, upatrzywszy sposobną porę, wy dostał się z pa-lacu.

Ogarnęło go prawie wiosenne powietrze. Nad miastem wisiały postrzępione mgły, przez które tu i owdzie przecierały się błękitne płaty nieba, zwały białych chmur, a chwilami słońce blade niby opłatek. Dzień podnosił się pogodny. Od pół pociągał wilgotny chłód, przejęty surowym oddechem ziemi, a chociaż po ogrodach i głębokich fosach leżały jeszcze kupy szczerńiałych śniegów, już pierwsza wiosna pachniała w dziwnie słodkim powietrzu. Ptaki świergotały po nagich drzewach i blankach murów, a coś niepojęcie radosnego dźwięczało w głosach i zdawało się rozpierać wszystkie serca. Snadź i te wiosniane podmuchy robiły swoje, bo Kraków przybierał zgoła niezwyčajny wygląd, gdyż tłumy, świątecznie wystrojone, rozanimowane, burzliwe i wesołe, wy-legały ze wszystkich domów. Każda z ulic stawała się belkotliwym, szumiącym strumieniem, którym mrowia ludzkie spływały w główny Rynek, jakoby w morze rozburzone, sfalowane i tysiącami głosów bijące. A nad tem zlewiskiem, ujętem w cembrowiny prawiecznych kamienic przedziwnej struktury, wieże Marjackie strzelały w błękity, wynosiły się spiętrzone dachy i atyki, misterne zręby Sukiennic, strażowała potężna wieża Ratusza i, jakoby w czas przypyływu mewy, tak kołowały nad głowami stada białych gołębi. Prospectus był bardzo cudny i do zastanowienia zmuszający.

Martwe zazwyczaj miasto budziło się z długiego letargu i na głos powinności Ojczyźnie stawalo do apelu. Bowiem wielkie polskie święto miało się obchodzić na tym prastarym Rynku, wpośród tych murów odwiecznych, które widziały Łokietków, widziały Kazimierzów, widziały Jagiellonów,

widziały Batorych i Sobieskich. Gdzie przez długie wieki srebrne surmy rozgłaszały chwałę zwycięstw! Gdzie odprawowały się hołdy pruskie i moskiewskie. Gdzie koronacyjne pochody, tryumfalne wjazdy, przewagi głośnie na świat cały, zasługi bohaterów i wielkość Rzeczypospolitej, świeciły nieśmiertelnymi blaski. Gdzie snuły się nieprzeliczone pokolenia, gdzie przepływały czasy świetności zarówno jak i klęsk, gdzie każdy kamień przemawiał głosem przeszłości, gdzie każdy wiek stał zaklęty w kształt godny siebie. W tem przenajświętszem sanktuarium Polski, pod Wawelskiem wzgórzem, stojącym na straży „narodowego pamiątek kościoła”, miał znowu zahuczeć dzwon, Zygmuntowski na zmartwychwstanie. Wśród tych murów, niby w arce przymierza między dawnymi a nowymi laty, miała się rozgłosić Ewangelia nowego żywota narodu. Więc też z pod łachmanów nędznego bytowania zaczynała przeziierać królewska purpura odwiecznej stolicy. Dumny majestat przeszłej wielkości zdawał się mieć swój tron w każdym, choćby najlichszym pachółku. Snadź czucie tego było powszechnem, gdyż kto jeno żył śpieszył na rynek i, dając duszę wzniosłym uniesieniom, prostował się w słusznej pysze i toczył zadzierzysto oczyma. A tłumy narastały z minuty na minutę, że gwary były już jednym ogromnym szumem, z którego tu i owdzie wydzierały się strzeliste okrzyki nawoływań, dźwięki jakowychś trąb, to nawet piosenki, niewiadomo przez kogo rzucone. Że zaś ruch kołowy był powstrzymany, tem głośniej słyssały się wrzawy, tupoty kroków i tysiączne pogłosy i dzwony.

Jakoś po dziewiątej, gdy Maryacki hejnał prześpiewał, cechy krakowskie zaczęły ścigać na Rynek. Szły w ordynku, ze sztandarami na przedzie i odznakami, a przy odgłosie trąb i wtórze dzwonów ustawiały się pod Ratuszem. Nieco z boku wzięła miejsce deputacja żydowska: siwe brody, kunie kołpaki, atlasowe chałaty i białe pończochy znacznie ją wyróżniały.

Cóżby tak gestniały, że między Sukien-

nicami, Ratuszem a połacią domów przeciwną nie sposób się było przecisnąć. Niekiedy tłumy kolebały się gwałtownie i parły ku ulicy Św. Anny, skąd miał się ukazać Kościuszko.

Powstawały z tej przyczyny niemałe sprzeczki, zamęty i warcholy, zwłaszcza iż akademicy łącznie z młodzieżą kupiecką i rzemieślniczą poczynali sobie coraz bujniej. Na każdym kroku widziało się ich poprępywanych czerwonymi bandoletami, na których: „Śmierć lub zwycięstwo!”, „Równość i wolność!”, „Wiwat Kościuszkol!”, „Jedność i niepodległość!”, „Za prawa i Ojczyznę!” i wiele rozmaitych zdań wyrażone były białymi literami. Byli, którzy jeno czarne sylwetki Kościuszki pokazywali przypięte na kapeluszach lub piersiach. Wszędy zaś spotykało się ludzi uzbrojonych. Kto przy szabli, nieraz odwiecznego kształtu, kto ze strzelbą na ramieniu, kto z całym arsenałem nożów i pistoletów za pasem, kto nawet z halabardą lub kosą na sztorc obsadzoną. Nie brakowało widel i prostych, okutych drągów, co przy zadzierzystych minach, kawalerskich fantazjach, pobudzonych animuszach i zawziętości przeciw nieprzyjaciolom ojczyzny niemało przyczyniało się do ustawicznych tumultów i groźnych zająć. Nierzadko też, na widok person pomawianych o przyjaźń dla Łykoszyna lub o wyznawanie targowickich principiów, wszczynaly się zapamiętałe wrzaski:

— Na szubienicę zdrajców! Rozsiekać! Bigosować! Dawać ich tutaj!

I wraz z gradem złorzeczeń setki rąk chciwie się darło ku jaśnie wielmożnym gardzielom. Szczęściem stłumiono te ekscesy w samym zarodku. A przytem uwagę powszechności ujarzmiła coraz gorętsza chęć zobaczenia Kościuszki. Jakoż nadeszła ta chwila, gdyż przed samą dziesiątą zagrały bębny.

— Idzie! Kościuszkol! Cicho, mospanowie! Cicho! — zawrzały przeciwnie głosy. Tłum nagle przycichnął, zwał się w jednym dreszczu, serca załomotały, a oczy wszystkich poniosły się w jedną stronę.

Bębny warkotały coraz bliżej, potem trąby wrzasnęły niebosiężnymi głosy. Huknęła sfornie kapela wojskowa i z ulicy św. Anny wypłynęła wielka chorągiew i, niby amantowy obłok, powiała nad głowami. Białą orzeł, rozwijając władcze skrzydła, unosił się coraz wyżej. Niezmierny krzyk wstrząsnął powietrzem i, ustokrotniony odbiciem o mury, bił pod niebo niemilknącemi długo echem. Zadygotała ziemia pod ciężkimi, mierzonymi krokami żołnierzy.

— Miejsca! Na strony! Na strony! — padły rozkazy i w mgnieniu oka uczyniła się przed wojskiem szeroka, pusta ulica. Błysnął gesty las bagnetów, zażółciły się rabaty, rozbłysły mosiężne blachy u kapeluszy. Batalion regimentu Czapskiego, w bojowym moderunku, zwarty na mur, rypał krokiem mocnym i uroczystym. Na czele, pod chorągwią, postępował Kościuszko w asyście oficerów i cywilnych. Kiedy znaleźli się naprost wylotu Szewskiej, batalion rozłamał się na cztery części i, utworzywszy wielki czworobok, stanął z bronią u nogi. Wtedy wszystkim oczom odsłoniła się postać Kościuszki.

Stał w pośrodku wojsk i ludu, wyniosły, surowy, wielki, jakoby posąg wszytkiej Polski, zjawiony tęskniącym oczom w tej cudów godzinie.

Właśnie słońce wyblęskło z poza chmur, otaczając go złocistą glorią majestatu, że z piersi tysięcy wybuchnęły grzmiące okrzyki. Jakoby szal ogarnął ciżby, wrzeszczano ze wszytkiej mocy, machano rękami, a z okien i balkonów, z galeryi Sukiennic i Ratusza powiewano chustami, rzucano kwiaty, płakano.

Lecz kiedy bębny nakazały spokój, zaległa taka cisza, że słyhać było trzepotanie chorągwi i wystraszony lot uciekających gołębi.

Wystąpił naprzód Linowski, a rozwiniąwszy wielki papier, rozpoczął odczytywać akt powstania obywatelów i mieszkańców województwa krakowskiego.

Czytał głosem wyraźnym, równym i niezmiernie doniosłym:

„Wiadomy jest światu stan terażniejszy nieszczęśliwej Polski. Niegodziwość dwóch sąsiedzkich mocarstw i zbrodnie zdrajców ojczyzny pograżyły ją w tę przepaść”.

Słuchano z zapartym tchem i nadzwyczajną uwagą.

....., „nie masz rodzaju fałszu, obłudy i podstępu, któremi by się te dwa rządy nie splamiły dla dogodzenia zemście i chciwości”.

Pomruk wzbierającej burzy zaszemrał w ciżbach.

Linowski czytał coraz dobitniej, głos jego bił śpiżowymi dźwiękami gniewów, gdy jął oskarżać aliantów o zbrodnie spełniane nad wolnym narodem. Zdrady wypominał nikczemne, wiarołomstwa, deptanie najświętszych praw wolności, a nawet i czucia tyranie, rozszarpywanie ojczyzny, pogwałcenie traktatów. Całą litanię podłości, barbarzyństwa, gwałtów i zbrodni. Cały ogrom nieszczęścia i upadku, w jaki pograżyli Rzeczpospolitą. Głos jego urastał do potęgi gromów, druzgotał okropnością przedstawianych krzywd i wstydem hańby przepała. Otwierały się nieprzyschnięte rany i wszystkie krzywdy stawały w pamięci. Gniew wzburzył serca, poniżona duma i majestat człowieka i obywatela zawyły w sercach krwawą żądzą odwetów i zemsty!

A Linowski, jakoby przed sądem narodów i odwiecznej sprawiedliwości, wołał głosem ogromnym, głosem wszytkiej ciemzonej Polski:

„Mając więc niezłomne przedsięwzięcie zginać i zagrzebać się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzić ojczystą ziemię od drapieżnej przemocy i haniebnego jarzma, oświadczam w obliczu Boga, w obliczu całego rodzaju ludzkiego, iż używając niezaprzeczonego prawa odporu przeciwko tyranii i zbrojnej przemocy, wszyscy w duchu rodackim, obywatelskim i braterskim łączymy w jedno siły nasze i zaręczamy sobie nawzajem nie oszczędzać wszelkich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom, powstającym w rozpacz na jej obronę. Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpiecze-

nie całości jej granic, wytepienie wszelkiej przemocy i uzurpacji, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej—ten jest cel święty powstania naszego”.

Przerwał, by złapać powietrza; ni jeden szmer nie zmącił modlitewnej cichości, jeno oczy paliły się ogniami powstrzymywanych uniesień i twarze dawały obraz najgłębszej uwagi, czułości i skupienia.

Przeczytał jeszcze zarys urządzeń, jakie muszą powstać, żeby insurekcja w skutkach pomyślnych zawiedziona nie była, i przeszedł do szczegółów:

„Za powszechną więc nas wszystkich wolą stanowimy, co następuje:

„Primo: obieramy i uznajemy niniejszym aktem naszym Tadeusza Kościuszkę za najwyższego i jedyne Naczelnika i rządcę całego zbrojnego powstania naszego...”

Nagle jakoby orkan się zwałił i wybuchnął wszystkimi potęgami żywiołów:

— Niech żyje Kościuszko! Wiwat! Niech żyje Naczelnik! Niech żyje!

Uczynił się nieopisany zamęt, ledwie kordony żołnierzyw odparły napór uderzających ciżb. Wzdymali się niby morze do dna rozburzone i rozszalałemi falami bijące. Wszystkie głosy, wszystkie spojrzenia i wszystkie czucia, pijane uniesieniem radości, leciały pod stopy Naczelnika. Burza okrzyków, tysiączne wołania, gdzie już płące radości, gdzie jeno ręce wzniesione, gdzie twarze zalane łzami zachwyceń, gdzie rozwiedzione ramiona, gdzie oczy obłąkane w szczęściu nadludzkim—dawały słaby jeno obraz tego, co się działo w sercach i umysłach.

Nikt już nie słuchał dalszego czytania Linowskiego. Zbędne już im były słowa i zgoda niepotrzebne wtedy, kiedy stał wśród nich On, Wódz! Naczelnik Narodu! Władca

wszystkich dusz! Prawdziwy król powszechności. On wydzwignie Rzeczpospolitą! On zaprowadzi sprawiedliwość! Prawdziwą wolność ugruntuje! Ufna radość przepełniła serca i głośliła się dokoła, łączyła pobratane dłonie i wśród płaczów roztkliwienia rzuciła ludzi sobie w objęcia przyjaźni.

Trwało to pewien czas, aż znowu twarządy warkot bębnow nakazał milczenie.

Naczelnik wystąpił na środek czworoboku, wyrwana z pochwy szabla zamigotała w słońcu, podniósł ją w górę i z oczyma wzniesionemi, podobien do archaniola wzniosłością oblicza, przysięgał narodowi:

— „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męko Syna Jego...”

Przestał, tocząc dokoła wniebowziętemi oczyma.

Pochyliły się przed nim sztandary, wojsko sprezentowało broń, kapele uderzyły tryumfalną fanfara, zadzwoniły we wszystkich kościołach dzwony, ze wszystkich piersi wyrwał się krzyk niezmierny i Zygmuntowski dzwon zahuczał, aż zadygotały mury; bił zwolna, głosząc uroczyste dalekim ziemiom i miastom, i morzom i góróm, i ludom, całemu światu i wszystkim Polsce zmartwychpowstania godzinę.

Naczelnik, otoczony ciżbami, ruszył na Ratusz podpisywać akt powstania.

K. 13540

K
13.540